

Strachy na lachy

Autor: **Mateusz Benedyk**

W minionym roku regularnie dochodziły do nas wieści związane z budżetem Stanów Zjednoczonych. Członkowie Kongresu nie mogli porozumieć się co do kształtu przyszłych wydatków państwa, co doprowadziło do częściowego zawieszenia funkcji rządu federalnego oraz stworzyło przeszkody dla podniesienia amerykańskiego limitu zadłużenia publicznego. Wydarzeniom tym towarzyszyły kasandryczne przepowiednie — komentatorzy i ekonomiści straszili nas widmem kolejnej recesji, jeśli wydatki państwa zostaną obcięte. Podobne głosy słyszeliśmy już kilka miesięcy wcześniej, gdy doszło do tzw. sekwestru, czyli automatycznych cięć wydatków rządu federalnego. Jeżeli limit zadłużenia nie zostałby podniesiony, to wydatki federalne nie mogłyby być większe od dochodów. Praktycznie jedynym wyjściem dla administracji Obamy byłoby zmniejszenie wydatków o jakieś 4 proc. PKB. Czy rzeczywiście skutkiem tego byłaby recesja?

Państwo a PKB

Gdy mówimy o rozwoju gospodarczym lub recesji, to zwykle wskazujemy na zmiany w poziomie PKB. Na Produkt Krajowy Brutto składają się wydatki na finalne dobra i usługi. Jeśli więc kupimy samochód, to taki wydatek jest wliczany do PKB. Jeśli z kolei fabryka samochodów kupi blachę, którą będzie wykorzystywać do dalszej produkcji, to wydatek ten nie będzie częścią PKB. Podobnie transfery socjalne, jakich dokonuje rząd (emerytury, zasiłki), nie wliczają się do PKB. Dopiero kiedy emeryt pójdzie do sklepu i kupi sobie coś do jedzenia, dochodzi do powiększenia PKB. Jednak część wydatków rządu do PKB się wlicza. Jest tak np. z wydatkami na budowę dróg, zbrojenia czy zakup produktów niezbędnych do funkcjonowania administracji (komputery, papier, samochody itp.).

Czy jednak wydatki rządu powinny być wliczane w PKB? Jeśli rząd dokonuje jakichś wydatków, to jednocześnie musi wyłączyć część zasobów spod rygoru kalkulacji ekonomicznej, jaki panuje w sektorze prywatnym. Rachunek zysków i strat pomaga przedsiębiorcom zorientować się, jakich dóbr i usług potrzebują konsumenci, dlatego też można dość rozsądnie zakładać, że dobrowolne, rynkowe transakcje podnoszą dobrobyt — i dlatego zalicza się je do PKB. Z kolei rząd nie dostaje informacji zwrotnej porównywalnej z kalkulacją ekonomiczną. Zdrowy rozsądek często podpowiada, że konkretne wydatki rządowe nie podnoszą dobrobytu. Ostatnio np. dolnośląski Urząd Marszałkowski zarządził wydanie 66 milionów złotych na stworzenie portalu internetowego o Dolnym Śląsku. Wydatki te powiększą PKB, choć dla wielu obywateli są raczej przykładem marnotrawstwa a nie lepszego życia. Spory wokół wydatków rządowych istniały już od samych początków liczenia PKB. M.in. sam ojciec chrzestny statystyk dochodu narodowego [Simon Kuznets](#) miał spore wątpliwości co do tego, czy wydatki rządu należy uwzględniać we wskaźnikach dobrobytu. Niestety, dyskusje te przypadły na lata II wojny światowej. Administracja Roosevelta nie mogła sobie pozwolić na to, aby pokazywać opłakany stan prywatnej części gospodarki podczas wojny, więc wydatki państwa przyjęło się wliczać do PKB.

Liczbowy fetysz

Z zakończeniem II wojny światowej wiąże się ciekawy epizod, który dobrze pokazuje, jak mylne mogą być statystyki dochodu narodowego. W Stanach Zjednoczonych podczas wojny trudno było o dostęp do wielu artykułów konsumpcyjnych, do których Amerykanie się przyzwyczaili. Mobilizacja gospodarki na potrzeby wojny spowodowała, że poziom życia przeciętnego Amerykanina wyraźnie spadł. Kiedy wojna dobiegła końca i do kraju zaczęły wracać miliony żołnierzy, keynesowscy ekonomiści wieszczyli gospodarczą katastrofę związaną z przewidywanym zmniejszeniem wydatków publicznych. I rzeczywiście, wydatki rządu federalnego spadły prawie o połowę w ciągu 2 lat — z 73,6 mld dolarów w 1945 r. do 40,4 w 1947. Jeśli spojrzymy na statystyki gospodarcze, to dowiemy się, że w latach 1945–1947 PKB spadł o prawie 15 proc. Brzmi to jak kryzys gospodarczy ogromnych rozmiarów. Zdziwić może zatem fakt, że przeciętni Amerykanie o żadnym kryzysie wówczas nie słyszeli. Sektor prywatny sukcesywnie przejmował żołnierzy i pracowników zwalnianych

przez rząd – stopa bezrobocia oscylowała w tych latach wokół 4 proc. Ludzie mogli nareszcie kupić dobra konsumpcyjne, których brakowało im wcześniej. Zamiast czołgów produkowano samochody osobowe, zamiast mundurów szyto ubrania dla zwykłych ludzi, gwałtownie rozwijało się budownictwo mieszkaniowe. Rok 1946 był największym co do wzrostu prywatnej produkcji w historii USA.

Recesja lat 1945–1947 jest tylko statystycznym artefaktem. Statystycy błędnie przyjęli, że wydatki publiczne można traktować tak samo jak prywatne. Tymczasem brak konkurencyjnej wyceny czynników produkcji i końcowych towarów w sferze rządowej uniemożliwia dokonanie realistycznych szacunków co do użyteczności produkcji rządowej. W podobną pułapkę ekonomiści wpadali w latach 1945–1990, kiedy próbowali liczyć zmiany PKB dla krajów bloków komunistycznego. Jako że w systemie socjalistycznym nie istnieje wolny system cenowy, to zliczanie wydatków w takiej gospodarce nie mówi nam nic o dobrobycie ludzi. Nie zrozumiał tego m.in. [Paul Samuelson](#), autor najpopularniejszego podręcznika do ekonomii po 1945 roku. Samuelson brał na poważnie dane liczbowe o PKB Związku Sowieckiego i w swoim podręczniku regularnie umieszczał prognozy mówiące o tym, że ZSRS wkrótce prześcignie gospodarczo Stany Zjednoczone.

Tnijmy wydatki

Szybki rozwój gospodarczy Stanów Zjednoczonych po II wojnie światowej i nagłym obcięciu wydatków rządowych nie powinien nas dziwić. Jeśli rząd przestaje wydawać pieniądze, to jednocześnie zgłasza mniejszy popyt na konkretne dobra. Z tego powodu ceny tych dóbr spadają. Im niższe ceny czynników produkcji, tym przedsiębiorcy widzą więcej szans na ich produktywnie zatrudnienie. Przykładowo, jeśli państwo zacznie wydawać mniej na budowę stadionów czy autostrad, to spadnie cena materiałów budowlanych i płace w tym sektorze. Dzięki temu przedsiębiorcy będą mogli budować tańsze domy czy biurowce, na które bez problemu znajdą klientów. Dlatego też po spadku wydatków rządowych obserwujemy zwykle szybki wzrost inwestycji w prywatnym sektorze.

Podobną sytuację można zaobserwować dziś w Europie. Te państwa, które na kryzys zareagowały obniżeniem wydatków publicznych, rozwijają się. Dobrym przykładem mogą dla nas być Łotwa, Litwa czy Estonia. Państwa te doświadczyły ogromnego boomu kredytowego przed 2008 rokiem, który

doprowadził do dużych nierównowag w tych gospodarkach. Dało to sobie znać w 2008 i 2009 roku, kiedy gospodarki tych państw wyraźnie się skurczyły. Rządy państw bałtyckich nie poszły jednak drogą zwiększania wydatków rządowych celem stymulacji gospodarek. Zamiast tego drastycznie obniżyły swoje wydatki. I tak np. na Litwie wydatki publiczne stanowiły 44,9 proc. PKB w 2009 r., a w 2012 r. już tylko 36,1 proc. Podobnie sytuacja wyglądała na Łotwie — 43,7 proc. PKB w 2009 r. i 36,5 proc. w 2012 r. Dzięki temu kraje te szybko wyszły z kryzysu i obecnie są najlepiej rozwijającymi się gospodarkami Unii Europejskiej.

Przeciwną politykę wybrały takie państwa jak Hiszpania czy Francja. W tych krajach wydatki publiczne uznano za ważny instrument stymulacji gospodarki. Hiszpania, podobnie jak kraje bałtyckie, doświadczyła na początku XXI w. silnej ekspansji kredytowej, która doprowadziła do powstania ogromnej bańki na hiszpańskim rynku nieruchomości. Odpowiedzią Hiszpanii na kryzys nie było jednak wycofanie się państwa z gospodarki i pozwolenie przedsiębiorcom na swobodne działanie. Zamiast tego rząd Zapatero spróbował klasycznego programu stymulacyjnego, zwiększającego wydatki publiczne. Z tego wstrząsu Hiszpania nie może wyjść do dziś. Dopiero w ostatnich latach hiszpański rząd przestał zwiększać wydatki. Poprawę sytuacji gospodarczej blokują jednak ciągle podwyżki podatków, mające załatać dziurę budżetową. Z podobnym scenariuszem mamy do czynienia we Włoszech czy Francji.

Wbrew temu, co często słyszymy z ust naszego ministra finansów, większe wydatki publiczne wcale nie mają zbawienego wpływu na gospodarkę. W krótkim okresie mogą one sztucznie napompować statystyki PKB, jednak trwale paraliżują one inwestycyjne wysiłki przedsiębiorców. Amerykanie podnieśli tymczasowo limit zadłużenia i zapewne w najbliższych latach nie zobaczą silnego spadku wydatków rządu federalnego. A szkoda, bo silne obcięcie wydatków nie byłoby żadnym Armagedonem — raczej początkiem silnego wzrostu prywatnego sektora, jak miało to miejsce po II wojnie światowej lub jak to dziś możemy obserwować na Łotwie czy Litwie.